DoRzeczy, dodatek „Historia”, nr 12/ grudzień 2018 r.

Są rówieśnikami, obaj przeżyli zbrodnie likwidacji gett w Krakowie i Łodzi. Po latach szczerze opowiadają o tragedii życia za murami i o roli policji żydowskiej

Kiedy myślę „getto”, pierwszym skojarzeniem jest rodzina - utrata całej rodziny. Druga myśl to widok małego dziecka wyrwanego matce przez Niemców. Uderzyli tym dzieckiem o mur i rozbili mu głowę - mówi „Historii Do Rzeczy" 92-letni Edward Mosberg, który ocalał z krakowskiego getta. - Do zbrodni tej doszło 13 marca 1943 r., kiedy Niemcy likwidowali nasze getto. Kazali wszystkim Żydom wyjść na ulicę i robili selekcję. Pamiętam, jak ludzie zbierali się na ulicy, a między nimi jak wilk krążył SS-Hauptsturmfuhrer Amon Góth, komendant obozu koncentracyjnego Płaszów. Bili ludzi, poniżali ich i zabijali na miejscu. Ktoś chciał wynieść swoje małe dziecko schowane w plecaku. Oni się jednak zorientowali i zaczęli strzelać do plecaka... Na ulicach pełno było trupów, bramy kamienic były całe zawalone martwymi ludźmi.

Około 8 tys. Żydów zostało wówczas przeniesionych do pobliskiego obozu w Płaszowie, 3 tys. wywieziono do Auschwitz, a ok. 2 tys. zabito na miejscu.

Tylko po polsku

Edward Mosberg włada piękną polszczyzną, choć od 1951 r. żyje w USA. Jak podkreśla, po polsku rozmawia ze swoimi córkami i z żoną, która również jest ocalałą z krakowskiego getta.

- Innego języka nie znałem przed wojną. W Krakowie 90 proc. Żydów mówiło po polsku - podkreśla Mosberg, który pochodzi ze zasymilowanej rodziny żydowskiej.

Do wydzielenia w marcu 1941 r. w dzielnicy Podgórze „Żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej w Krakowie" Niemcy zdążyli wywieźć z miasta większość z ok. 80-tysięcznej społeczności

żydowskiej.

Tam, gdzie wcześniej żyło ok. 3,5 tys. ludzi, nagle stłoczono ok. 17 tys. Średnio na jeden pokój przypadało pięciu Żydów.

- Nagle cała moja rodzina znalazła się w getcie. Zapędzili tam moich dziadków, ciotki, wujków, kuzynostwo. Wcześniej każda rodzina miała duże mieszkanie. Tymczasem w getcie dostaliśmy dwu- pokojowe mieszkanie. To i tak było szczęście, bo inni nie mieli nawet takich warunków. Przynajmniej wszyscy byliśmy razem - mówi Edward Mosberg.

Kiedy wybuchła wojna, miał 13 lat. Mosberg mówi, że nawet gdyby miał kilka lat więcej, nie wyobraża sobie, by poszedł na ochotnika do policji żydowskiej w getcie.

- Nigdy nie wstąpiłbym do policji żydowskiej. Absolutnie nie. Niemcy bali się wchodzić do getta, bo przerażały ich choroby. Mieli od tego policję żydowską. Jej członkowie bili własnych braci i ładowali ich do wagonów. Ci, którzy tak się zachowywali, byli współpracownikami Niemców, nie mam co do tego wątpliwości. Mówi się, że oni poszli tam, by ratować swoje życie. Tymczasem finał był taki, że sami na końcu w większości zginęli, a po drodze stracili godność. Nikt ich nie zmuszał, żeby przystąpili do policji żydowskiej - mówi ocalały z Holokaustu. Wspomina, jak powoli pustoszało mieszkanie w getcie zajmowane przez jego rodzinę. Stopniowo wywożono jego najbliższych do Bełżca.

- Najpierw wywieźli do Bełżca moich dziadków. I tam ich zabili. Potem wywieźli moją ciotkę i jej dziecko. I też ich zabili. Potem zabrali drugą ciotkę z dzieckiem. Niemcy wykorzystywali do tego żydowskie służby porządkowe, bo sami bali się getta. Policjanci żydowscy, którzy wyciągali ludzi z mieszkań, mogli udać, że „nie widzą" ludzi przeznaczonych do wywózki. Tak się jednak zwykle nie działo. Oni zawsze mieli wybór - mogli tego nie robić, widząc, że to było złe. Byli przecież różni policjanci. Niektórzy byli nawet dobrymi ludźmi. Sam znałem takiego porządnego policjanta, który zamieszkał po wojnie w Nowy Jorku i nie miał się czego wstydzić. Inni musieli uciekać do Ameryki Południowej, bo współpracowali z Niemcami. Wstyd mi za tych policjantów. Tak samo powinno być Polakom wstyd za Polaków, którzy w czasie wojny robili potworne rzeczy. Nie można jednak uogólniać i winić całych społeczności. Ludzie są przecież bardzo różni, co jednak nie wszyscy chcą zrozumieć.

Kiedy kolaboracja?

Czy jednak zarzut kolaboracji z Niemcami części policji żydowskiej nie jest zbyt mocnym stwierdzeniem, zważywszy na zamknięcie całej społeczności za murami? Gdzie kończy się wykonywanie zarządzeń Niemców dla ratowania własnego życia, a zaczyna się kolaboracja z wrogiem?

- Kiedy moja matka szyła mundury dla Niemców, czy współpracowała z Niemcami? Albo ja, gdy pracowałem jako goniec w biurze Amon Götha? Oczywiście, że nie. To chyba oczywiste, że charakter pracy w służbie porządkowej getta był zupełnie inny. Można tam było robić rzeczy złe, które muszą zostać uznane za współpracę z Niemcami, ale można było się też zachowywać jak policjant po ludzku i znamy też przecież takie przykłady.

Nasz rozmówca podkreśla jednak, że sam nigdy nie miał złych doświadczeń z policją żydowską.

- Praca gońca w biurze Götha sprawiała, że często przychodziłem na posterunek policji żydowskiej, ale - z oczywistych względów - byłem traktowany przez tych ludzi normalnie. W czasie pracy jako goniec widziałem potworne rzeczy, np. rozrywanie ludzi przez psy na rozkaz Götha.

Ojciec Edwarda Mosberga został zastrzelony w sierpniu 1941 r., matkę Niemcy wysłali do Auschwitz w maju 1944 r. W Holokauście Mosberg stracił też dwie siostry.

- Moje siostry trafiły ostatecznie do obozu Stutthof. Zostały zamordowane dzień przed wyzwoleniem obozu - mówi.

Co ciekawe, we wspomnieniach Mosberga z czasów zamknięcia w getcie nie widać tragedii głodu.

- Mama miała jeszcze trochę kosztowności, sprzedawała je na mieście dzięki pomocy znajomych Polaków. Dzięki temu było co jeść, chociaż oczywiście to nie była norma w getcie. Z

narażeniem własnego życia ci ludzie przynosili pieniądze mojej mamie do getta. Takich ludzi było bardzo wielu, dlatego nie wolno winić narodu polskiego za tragedię Żydów - opowiada nasz rozmówca.

- Pomógłbym przechować uciekiniera, gdybym miał narażać tylko swoje życie. Gdybym jednak miał narażać życie całej mojej rodziny, to nie zrobiłbym tego - przyznaje Edward Mosberg, wspominając o bohaterstwie rodziny Ulmów.

I dodaje: - Na pewno były wtedy tysiące Polaków, którzy chcieli pomóc Żydom, ale z tych samych względów nie mogli tego zrobić. Rozmawiałem na ten temat z wieloma Żydami - słyszałem od nich podobną opinię.

Po likwidacji obozu w Płaszowie Edward Mosberg został wywieziony do cieszącego się wyjątkowo złą sławą obozu Mauthausen-Gusen w Austrii, a na koniec został przeniesiony do należącej do Hermanna Göringa fabryki w Linzu. 5 maja 1945 r. Mosberg odzyskał wolność.

- Na samym końcu, tuż przed likwidacją Płaszowa, żydowscy policjanci zostali zabici - moja żona widziała ich trupy... - mówi ocalały z Zagłady. I dodaje: - Jeżeli ktoś mówi, że Polacy to antysemici, zawsze odpowiadam: „Proszę przyjechać do Ameryki i zobaczyć, co tu mówią o Żydach". Na pewno istnieje w Polsce antysemityzm, tego nie da się zanegować, ale wyolbrzymianie tego zjawiska to robienie krzywdy Polakom. Nie da się powiedzieć, że Polacy to antysemici.

Łódzka gehenna

Litzmannstadt Ghetto miało zostać opróżnione z „darmozjadów". Wszystkie dzieci, chorzy i starcy mieli zostać zamordowani. Łódzkie getto miało się stać jednym wielkim obozem pracy. Zbrodnię, która do historii przeszła jako tzw. wielka szpera, Niemcy rozpoczęli 5 września 1942 r. Terror trwał tydzień.

- Niemieccy i żydowscy policjanci otaczali domy i chodzili od mieszkania do mieszkania.

Wyciągali małe dzieci, osoby w podeszłym wieku i chorych. Do naszego mieszkania też weszli - wspomina tę zbrodniczą operację Leon Weintraub, urodzony w 1926 r. w Łodzi. - Od nas nikogo jednak nie zabrali, bo wszyscy u nas byli w „odpowiednim" wieku i byli zdolni do pracy - ja miałem wtedy 16 lat, moje cztery siostry były ode mnie starsze, mama miała 48 lat, ciocia była 10 lat od niej starsza, ale wciąż mogła pracować. Policjanci weszli do naszego mieszkania, rozejrzeli się po nim, zobaczyli, że nie mają tu czego szukać, i szybko wyszli. Kiedy wspominam ten moment, nie widzę ich twarzy, tylko same postaci. Na podwórzu zebrali ludzi do wywózki. Przez okno widziałem te dzieci, starych ludzi i tych, którzy musieli być podpierani, bo byli chorzy. Mam jeszcze w uszach płacz matek, którym zabrano wtedy dzieci...

Jak wspomina nasz rozmówca, efektem tej akcji była kompletna cisza. Nie było już żadnego kwilenia noworodków, śmiechu małych dzieci.

Jak powinniśmy oceniać rolę policji żydowskiej w Litzmannstadt Ghetto?

- Jednoznacznie negatywnie. Często w brutalny sposób wykonywali wolę Niemców i wykorzystywali swoją uprzywilejowaną pozycję. Trzeba przy tym pamiętać, że my w getcie właściwie nie widywaliśmy mundurów niemieckich... To była właśnie perfidia Niemców, którzy stosowali starą zasadę dziel i rządź - przyznaje szczerze ocalały z Holokaustu.

Równocześnie jednak Leon Weintraub daleki jest nazywania żydowskich policjantów mianem „kolaborantów".

- Zadam pytanie: Co to znaczy kolaborować? Czy wykonywanie wszystkich żądań Niemców jest kolaboracją? Jeżeli tak, to chyba wszyscy byliśmy kolaborantami. Przecież wszyscy musieliśmy wykonywać ich rozkazy, inaczej zostalibyśmy zabici. Żeby to zrozumieć, trzeba było być zamkniętym w getcie. Instynkt samozachowawczy jest nieprawdopodobnie silny. Aby przeżyć, człowiek jest w stanie zrobić niepojęte rzeczy. Wiem coś o tym - całe życie pracowałem jako lekarz - mówi Leon Weintraub.

Jego rodzina w osiem osób mieszkała w niewielkim pomieszczeniu, a główną troską był głód. Mimo że każdy miał pracę, zawsze brakowało jedzenia.

- Tylko dzięki pracy można było dostać kartki żywnościowe. Dostawaliśmy w ten sposób dwukilogramowy bochenek chleba na tydzień na osobę. Codziennie rano najstarsza siostra dzieliła chleb na osiem części. Było tego bardzo mało, ale dzięki dyscyplinie przynajmniej codziennie mieliśmy co włożyć do ust.

Te kilka lat to nieprzerwane uczucie głodu, pamiętam ten ucisk w dołku... - mówi nasz rozmówca.

Likwidując latem 1944 r. Litzmannstadt Ghetto, Niemcy próbowali wmówić łódzkim Żydom, że wywożą ich do Rzeszy, gdzie dalej będą żyć tak jak do tej pory. Leon Weintraub wspomina, że wtedy jeszcze zwykli mieszkańcy getta nie wiedzieli o dokonującym się Holokauście, ale Żydzi i tak bali się wywózki.

Gdy tylko pojawiło się więc zagrożenie, że za chwilę zostaną wyrzuceni z mieszkania, rodzina Weintraubów chowała się za szafę. Po ok. dwóch tygodniach życie w takim napięciu przerosło jednak matkę naszego rozmówcy.

- Usłyszeliśmy w mieszkaniu krzyk: „Jeżeli kogoś tu znajdziemy, to zastrzelimy na miejscu". To było za dużo dla mojej mamy. Wyszła zza szafy i prosiła ich, żeby nie strzelali. Zostaliśmy zapakowani do pociągu i wywiezieni - bodajże był to 18 sierpnia - do Auschwitz. Podczas selekcji na rampie wszystkich nas - oprócz cioci - zaklasyfikowano jako zdolnych do pracy. My z siostrami poszliśmy na prawo, ale ciocia trzymała się ze strachu ręki mamy i pociągnęła ją ze sobą na lewą stronę, która oznaczała śmierć w komorze gazowej. Więcej już mamy nie zobaczyłem - wspomina Leon Weintraub.

Rodzeństwo Weintraubów trafiło do różnych obozów koncentracyjnych, ale - co zakrawa na cud - wojnę przeżyła większość rodziny. Leon Weintraub został wyzwolony przez Francuzów.

- Gdy skończyła się wojna, ważyłem 35 kg, byłem chory na tyfus. Szczęśliwym trafem dosyć szybko dowiedziałem się, że moje trzy siostry przeżyły! To był jeden z najbardziej radosnych momentów w moim życiu - opowiada nasz rozmówca.

Pomimo ogromnych zaległości w edukacji Leonowi Weintraubowi udało się dostać na medycynę. Wrócił do Polski i pracował jako lekarz. W trakcie nagonki antysemickiej w 1968 r. został zmuszony do wyjazdu do Szwecji, gdzie mieszka do dziś.

Opracowanie: Aron Kohn, Hajfa, Izrael